Nr. 10. We Lwowie dnia 7. marca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W zimową burzę

(Gawęda przy kominku).

(Dokończenie).



Koń stanął. Wyskoczyłam z sanek i zbliżyłam się do leżącego.

Poznałam Ihnata.

Sztywny, wyciągnięty, z rękami przykurczonemi na piersiach, z wielkiemi sterczącemi stopami, z których płótna zwieszały się szmatami, leżał umarły.

Przejął mnie dreszcz przerażenia. Co tu być mogło? Wilki? Zabójstwo?

— Boże święty, co to zaszło? — spytałam.

— A ot... — odpowiedział mi jeden — Ihnat nie żyje.

— Kto go zabił?

Zamilkli i patrzali na niego w skupieniu, a potem jeden z nich poważnie i smutnie rzekł:

— Zmarzł, paniczka.

— Kiedy? Czuwając w tę noc? W zamieci?

Milcząc, głową skinęli.

— Gdzież inni byli? Czemuż mu nie pomogli? Czemu nie ratowali?

— Z wieczora jeszcze przyszli żandarmi i rozstawili nas pojedyńczo, aby, znaczy, gęściej stały straże, bo tej nocy, mówili, car będzie jechał.

— Ihnat miał ogień, jakże mógł?...

— Ej, paniczka, jaki tam ogień mógł wtedy tę noc przetrzymać?

— Dobrze temu, kto miał kożuch cieplejszy. Ja sam myślałem, że koniec już mój nadszedł, a przeciem nie słaby, chwała Bogu.

— I mróz cisnął straszliwy i wiatr, a śnieg tak zanosił, że nieraz tchnąć nie było sposobu. Żaden ogień nigdzie do rana nie dotrwał. A rankiem, wiadomo, najgorzej ciśnie.

— I takeście go tu znaleźli, martwego?

— Zimny już był i leżał ot tak, jak sosna w boru ścięta.

Do rana widać nie dotrwał, bo go już śniegiem zaniosło, nogi tylko sterczały ze śniegu.

— I nie wołał, nie krzyczał? wszakżeście blisko byli.

— Ktoby tam co usłyszał, kiedy wiatr tak ciął, że niewiedzieć było, co tam jęczało, czy wiatr, czy »nieczysty«, czy dusza skazana.

— A dlaczegoście teraz nie wzięli go do chaty?

— Nie można; *naczalstwo* zaraz przyjedzie, śledztwo będzie.

Chciałam bliżej przystąpić, lecz mi wzbronili, że to niewolno. Zaszłam więc z boku, kędy ze śniegowego wzgórka zwieszała się w śnieg martwa jego głowa.

Była nieosłonięta. Bujna, ciemna czupryna twardą falą z czoła mu spadła i twarz odkryta rzeźbiła się wyraźnie i silnie pod dziennem światłem.

Surowe miał rysy. Kurcz bolu ściągnął je w wyraz męczeński; lecz mimo że usta miał wpół otwarte, taki w nich tkwił wyraz kamiennej stałości, iż zgadłam, że męcząc się, jęku nie wydał. Twarz, jak i postać cała, wyprostowana, jak posąg kamienna, z groźną a wielką mocą chroniła ból swój w głębokiem wnętrzu.

Schyliłam się niżej. Pod łukiem krzaczastych brwi dojrzałam nawpół otwarte oczy. Pokryte były martwem, nieruchomem szkliwem, a na rzęsach perliła się wielka, zamarzła łza. I przez łzę tę patrzyły. Zwrócone pod perłowe, niewidzialnem słońcem nasycone obłoki, patrzyły z mocą rozpaczną, ostatnią, patrzyły tak, jakby chmury przebić chciały, jakby poza niemi szukały miłosierdzia. Jeśli w nich myśl ostatniej chwili była zakutą, to straszną była ta myśl. On w niej zrozumiał, w jednym rzucie objął swoję czarną, swoję chłopską dolę, policzył i przeżył nanowo wszystkie dni głodu i beznadziejnej troski, wszyst-

kie nietrafne i nieudatne wysiłki w poszukiwaniu gorzkiego, czarnego chleba. Zrozumiał i odczuł, że nieudatnym i nieszczęsnym był jego żywot cały, że ciężki znój na roli za ciężkim był dla niego, że chociaż ręce miał nieudolne, to w piersiach nosił serce bogate, lecz musiał żyć rękami, bo o serce nikt go nigdy nie pytał. I jak to życie kalekie, krzywe, tak śmierć ta teraz przyszła nań bezlitośna, barbarzyńska i straszna.

W szerokich, szklanych źrenicach jego był przestrach niezmierny i zadziwienie, dlaczego ma ginąć, kiedy życie pełnem tętnem uderza mu w piersiach i kiedy nic jeszcze, zgoła nic, lepszej doli nie zaznał. I była w nich rozpacz, że w tej strasznej burzy śniegowej, w tym wyciu wiatru idzie na niego jakaś moc niezmożona, idzie nieochybna i chciwa, zagarnie go i zmiecie, i niemasz dla niego ratunku. A blisko, o staj kilka znajduje się wioska i chatka jego z płonącem wewnątrz ogniskiem, i ciepła miska strawy, i ciepłe serce matki. Miał tylko tor kolejowy przelecieć i pola kawałek i zostałby ocalony i straszna śmierć w sile wieku przeszłaby mimo. Manić go tam musiało i pewno silnie manić — w śnie podśmiertelnym, gdy sztywniały mu członki, a śnieg je przysypywał i kładł się zimnym całunem na piersi ciepłe, na serce bijące, on musiał jęczeć w duszy za chatą rodzinną, za matką, i za niemi płakał tą łzą ostatnią, zamarzłą.

Lecz zostać tu musiał i ginąć. Burza zdrętwiła mu członki, mróz skuł na miejscu i wicher śniegiem gryzącym zasypał.

Zginąć tu musiał. Bo po nad mocą burzy zimowej, po nad wichru mroźnego szałem, samowolniejsza nad samowolę zasp śnieżnych jest moc inna — tężejsza i sroższa. Jej wicher po polach naszych zamiata, gasi ogniska nasze, jej mróz w lodowe okowy nas skuwa. W borze sosny od mrozu pękają, a ona w piersi nam puka i czujnie wytęża ucho, czyli w nich życie gra jeszcze, czy krew się jeszcze nie ścięła, czy drga w nas jeszcze serce — mocne, niezłomne, nieugięte serce litewskie?

Z wiatru jękami, w kłębach śnieżnej zamieci mknął w tę noc straszną pociąg białego cara. Życie wszelkie w kryjówki zapadło — po wielkich przestrzeniach między niebem i ziemią leciały tylko te wyjące mroźnego śniegu tumany. On wśród nich jeden żył tylko, idąc z wichrem w zapasy, warcząc kłębami pary, ciężko dysząc ciężkiemi piersiami, pędził jak burza szybki, jak burza złowieszczy i dziki. A lecąc, ścierał w proch i gasił ludzkie żywota *).

Legł Ihnat śmiercią, stróżując nad carem.

Legł nie jak żołnierz, co żywot kładzie za kraj i króla, nie jak wojownik, co pierśmi swobód ojczyzny broni — ale na ziemi, stopą carską zdeptanej, splugawionej niewolą, zuchwałą ręką odartej ze starych praw swych i swobód, bez wiedzy padł, jak niewolnik, rozkazowi batoga posłuszny.

Lat kilka przeszło. Potężny car północy leży w srebrnych trumnach, wzgórzem kwiatów pokryty, złotą lamą odziany, nad stosem srebrnych i złotych darów Europy — car „mirotwórca". A na litewskim cmentarzu wioskowym, między dwóch puszcz rozstąpieniem, pod grudką

*) Owej nocy, jak mówili mi chłopi, na przestrzeni 5—6 mil oprócz Ihnata zmarzło jeszcze dwóch ludzi.

DOKTÓR JAN.

(Dokończenie).

Od pewnego czasu przechylał się bardzo ku stronie doktora Jakób Wąsal. Lecz jakiś szkodliwy ferment burzył się w duszy tego człowieka. Jego, dawniej wesołe, śmiałe, błękitne oczy coraz częściej gorzały ponurym blaskiem i coraz też częściej bijał żonę.

Wziął go raz doktór na spowiedź.

— Jakie cię znów licho opętało? — mówił. Upiłeś się z pięć razy w przeciągu trzech tygodni.

Wąsal stał długą chwilę, obracając czapkę w ręku.

— Bo gdy człowiek pije — to zapomina — wyrzekł głucho.

— O czem? Źle ci żyć?

— Ha! ha! — zaśmiał się szyderczo robotnik. Czy to życie! Dzień po dniu kuj żelazo, póki żyjesz. A moje dzieci co będą robiły. Jest na świecie nauka, i różne mądre, dobre ciekawe rzeczy, a człowiek, żeby dzień i noc pracował — czy się do nich dorwie? Żyj, jak ten kret w norze albo rękę po chleb wyciągaj. Już wolałbym nie wiedzieć, że jest co na świecie po za domem i fabryką. Przynajmniej by człowiek tego żalu nie miał i tęsknoty.

Umilkł i dyszał ciężko, jak pies, rwący się z łańcucha.

Codzienna, krwawa prawda wyrywała się z ust tego człowieka.

Ból bezsilności nim szarpał, był jak ten żeglarz, zmuszony do omijania upragnionej ziemi, jak owad, rozbijający się o szybę. I nigdzie wyjścia i znikąd pomocy.

Doktór Jan milczał. Zdawał się nad czemś namyślać, coś rozważać, wreszcie spytał Wąsala.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Od miesiąca rzuć fabrykę, ja dam ci środki na naukę, na wyjazd zagranicę, gdy tego zajdzie potrzeba.

Wąsal nic nie odpowiedział. Oparł się tylko o ścianę i osłupiałym wzrokiem spoglądał na Jana.

— Jakóbie! — zawołał doktór, kładąc mu rękę na ramieniu. Otrząśnij-że się. Chcesz się uczyć,

szczerego piasku spoczywa zmarznięty Ihnat, i tylko krzyżyk sosnowy chyli nad nim litośne ramiona.

Lecz ilekroć zerwie się burza zimowa i wicher w śniegowej zamieci po polu lata, coś skarży się tu, coś szlocha, to długim jękiem zawiedzie, to huknie z grozą straszliwą.

A las głowy gnie ku ziemi, i ziemia stęka...

Ludzie mówią, że to dusza Ihnata krąży i zbiera na stos gałęzie, aby ogrzać się przy ognisku.

Hej, Ihnat, ciemny litewski chłopie! Nie słaniać się tobie czczym wichrem po polu... Poleć ścieżką deptaną ku gęstwinom leśnym, gdzieś w trójznoju rąbał puszcze stare; przeleć szlakiem nadbrzeżnym, kędyś po wiosennej rozpienionej fali gnał je ku Dnieprowi na dżdżach długich moknąc, z wichrami się zmagając — w jaki wieczór cichy spłyń na orną rolę i zbierz te krople potu, które tu w długi dzień letni, jak rosa padały — w noc jesienną wwiej z poświstem wiatru do chat swojej wioski, a zgarnij te troski, co nad śpiących głową, jak mgła ciężka wiszą, porusz krzywdy, co śniedzią czarną wiekami składane po kątach tu przylgły warstwą coraz grubszą i coraz czarniejszą — a przemknij jeszcze torem swym mogilnym, tą drogą żelazną, coś jękiem swych piersi, wysiłkiem swych kości kładł, kędyś sam zginął, władcy swego stopą, jak robak roztarty. — Weź po ździebełku, podnieś po okruchu z tych krańców twojej doli, a stos ci urośnie wielki, potężny, i będzie wyższy nad grobowiec cara, i bogatszy będzie, a jak stos ofiarny ku niebu wzywający...

A przyjdzie chwila — duch boży iskrę rozniecí, i stanie się widno od skraju do skraju i stanie się wolno...

...Ts! Ogień mi zgasł na kominku i północ bije. — Ja marzę...

W. Dalecka.

Z literatury społecznej francuskiej.

(*Pain gratuit* par Victor Barrucand. Paris 1896).

Jeżeli, zmęczeni cierpieniem własnem i widokiem cierpień innych, usiłowaliście zbadać, ile w nędzy społecznej jest winy człowieka, uwzględniwszy, rozumie się, wpływ fatalizmu, jeżeli, świadomi sił własnych, protestujecie w jakikolwiek sposób przeciw zbrodni społecznej — jesteście pracownikami rewolucji. Mogą zachodzić między wami różnice co do wyboru środków, mających sprowadzić przeobrażenia, które uważacie za potrzebne, ale usiłowania wasze jednoczą się w owem szlachetnem odczuciu zła, będącem pobudką waszych czynów«.

Z taką apostrofą zwraca się do „ludzi nowych“ niejaki p. Barrucand, reformator społeczny, również „pracownik rewolucji“, którego jednak nie zadowala ani jałowa doktryna socjalnych-demokratów, ani ponura walka anarchistów.

---

chcesz wyjść z fabrycznej niewoli, więc wyjdziesz. Widzisz, gdybym się ożenił i miał dzieci, musiałbym płacić za ich naukę, prawda? No, a że dotąd nie mam ani żony, ani dzieci, mogę te pieniądze dla ciebie przeznaczyć. Rozumiesz?

— Panie doktorze, panie doktorze!

Tylko tyle mógł na razie powiedzieć Wąsal.

— Toby naprawdę mogło być? — spytał wreszcie.

— Oszukałem cię kiedy?

Gdy Jakób uwierzył w możliwość zmiany swego losu, najprzód uderzył się pięścią w piersi, potem głowę o mur cisnął, aż się echo rozległo.

— Dobroczyńco! Dobroczyńco! Ale jakże ja... tyle pieniędzy będę winien panu doktorowi, bo przecie babę mam... — zastanowił się po chwili.

— Mnie nic nie będziesz winien; jeżeli istotnie będziesz mógł z nauki korzystać, a później byt sobie zapewnisz, oddasz pieniądze drugiemu potrzebującemu. Pamiętaj jednak, że nie tylko fabryczna niewola istnieje na świecie — sam przekonasz się o tem i może wrócisz tu, by innych oświecać. Ale do tego jeszcze daleko. — Co do twojej żony będzie mi, jak dotąd, prała bieliznę — coś dla niej znajdę wreszcie.

Świat wirował w oczach Wąsala, gdy wychodził od doktora. Powtórzył nowinę żonie; kobieta zlękła się, że jej mąż póty pił wódkę, aż oszalał i poleciała do doktora Jana po wiadomości. Wąsal poszedł do Rodka.

Robotnik najprzód w nowinę nie uwierzył, potem osłupiał, osłupienie wkrótce przeszło w gniew, a gniew we wściekłość. Bo jeżeli komu, to jemu należała się taka nagroda za ciężkie, cierpkie życie.

Nie wybuchnął jednak, tylko pobladł, i szyderczo zgiął się we dwoje przed Wąsalem.

— Kłaniam się uniżenie jaśnie wielmożnemu panu dobrodziejowi.

— Nie udawaj małpy — zaśmiał się Wąsal — i nic nie mów nikomu. Jutro podziękuję za robotę. Trzebaby też uczciwie pożegnać towarzyszy. U mnie trochę ciasno, a do szynku nie chciałbym iść.

— Może nas do Stępkowskiego zaprosisz?

— Głupiś! Ot, żebyś mi swojej izby użyczył?

— Niedoczekanie twoje! — miał już na ustach Rodek; pomiarkował jednak, że właśnie teraz zrywać z Wąsalem nie należy.

Spółczesny ustrój społeczny, powiada Barrucand, opiera się na dwóch zasadach: poszanowaniu życia ludzkiego i własności. Ale czyniąc wszystko, więcej, niż potrzeba, dla zasady drugiej, społeczeństwo nie uczyniło nic prawie, albo bardzo mało, w celu zapewnienia życia jednostki. A ta właśnie idea poszanowania życia ludzkiego powinna być naczelną i dominującą zasadą ustroju społecznego. W jej to bowiem imię, dla ochrony życia powstało społeczeństwo.

Ale w obecnym ustroju społeczeństwa podporządkowaliśmy to prawo do życia zasadzie własności nieograniczonej, co sprowadziło następujące skutki: wyzysk człowieka przez człowieka, faktyczną niewolę i nędzę mas, powstanie nowej, najwstrętniejszej arystokracji — plutokracji itp.

„Pracuj albo umieraj“ — oto obowiązek i zarazem prawo proletarjusza. Ma on tu, co prawda, wolny wybór, ale w rzeczywistości instynkt samozachowawczy rządzi jego wolą. Proletarjat żyje zatem po to, aby karmić swą siłą roboczą swych własnych wyzyskiwaczy.

Pierwszym zatem krokiem na drodze reformy społecznej powinno być przywrócenie należnego stanowiska prawu jednostki do życia. Nowy porządek społeczny przedewszystkiem powinien zabezpieczyć wszystkim to, co im jest do życia niezbędne. Będzie to realną podstawą prawdziwej wolności, a wprawdzie nie urzeczywistni jeszcze powszechnej równości, owego wymarzonego ideału komunistów, ale uniemożliwi wyzysk człowieka przez człowieka.

Staraliśmy się tu oddać mniej więcej tok rozumowania, prowadzącego Barrucand'a do jego projektu reformy społecznej, która rozpocząć się powinna od zaopatrzenia ludności w chleb na koszt społeczeństwa (państwa). Przyjęliśmy już zasadę powszechnego bezpłatnego nauczania i w znacznej mierze znalazła ona u cywilizowanych narodów praktyczne zastosowanie, dostarczamy w publicznych studniach bezpłatnej wody, bezpłatnie oświetlamy dla przechodniów ulice miast itp. Czemużbyśmy pokusić się nie mieli o bezpłatne dostarczenie wszystkim obywatelom państwa chleba — w ścisłem znaczeniu tego wyrazu? Ale, rzecz to jasna, zaspokojenie tej potrzeby na koszt państwa będzie miało skutki o wiele donioślejsze, sięgające w samą głąb stosunków społecznych. Przedewszystkiem społeczeństwo spełnia pierwszy i najważniejszy obowiązek względem swych członków: zapewnia im życie.

Niema już głodnych. Niema wypadków śmierci głodowej, których obecnie w wielkich miastach bywa po 30—40 rocznie. W walce z kapitałem robotnicy otrzymują oręż, który im pozwala bez obawy głodu obstawać przy swych żądaniach.

Nie wdając się w szczegóły projektu Barrucand'a, podnieść należy, że autor stoi zupełnie na gruncie spółczesnego ustroju społecznego, do tego nawet stopnia, iż produkcji chleba (pieczywa) nie zamierza upaństwowić, ale pozostawia ją w zupełności piekarzom, ich wolnej konkurencji. Każdy ma prawo brać w swej gminie pewne oznaczone maximum chleba dziennie, a rachunki piekarzy pokrywa się z funduszów gminnych. Barrucand podaje w omawianej książce szczegóły urzeczywistnienia tego

---

— Dlaczego nie! U mnie więcej miejsca odparł głośno.

Postanowili więc, że jutro wieczorem, zgromadzą się u Rodka wszyscy przyjaciele Wąsala.

Wąsal zmiarkował, że Rodek złość w sobie kryje i że jej powodem była zazdrość. Nic tu jednak poradzić nie mógł.

Nazajutrz Rodek nie pokazał się w fabryce. Czuł się niezdolnym do pracy. Kilka godzin plątał się nad Wisłę i rozmyślał, czy niema sposobu przeszkodzenia szczęściu Wąsala. On, taka tęga głowa, coś przecie wynaleźć musi.

W południe poszedł na obiad do starej Machajskiej, bo jako wdowiec bezdzietny, musiał stołować się poza domem. Machajska już o wszystkiem wiedziała; do barszczu z kawałkiem mięsa i z kartoflami dodała swemu stołownikowi gorzką przyprawę: zachwyt nad doktorem Janem. Rodek nie tylko uważnie słuchał, lecz nawet przytakiwał gospodyni mówiąc, że szczęściem Wąsala cieszy się, jak własnem, potem poprosił Machajskiej, by zaszła do Wąsalowej i dała jej, od niego, całe trzy ruble na poczęstunek. Chciał jak najlepiej usposobić dla siebie towarzysza.

Około ósmej pełno było ludzi u Rodka. Wąsal częstował wódką, piwem, kiełbasą, bułkami, sam unikał trunków, lecz go Rodek pilnował. Musiał pić — by nie obrazić kompanji, a gospodarza gniew dusił coraz większy. Dzisiaj — nienawistny »burżua« stanowczo go zwyciężał

Na chwilę też zrzucił maskę spokoju i rzekł:

— Za cóż tak chwalicie tego doktora? czego mu się dziwicie? to, co Wąsala spotyka, każdemu z nas powinno być przeznaczone..

Lecz jego słowa utonęły w ogólnym gwarze.

Było już po północy, gdy Rodek odprowadzał do domu dobrze pijanego Wąsala.

— Słuchaj — rzekł, — co ci powiem: czy byłem ci przyjacielem, czy nie?

— A jakże, byłeś, — odparł Wąsal z silnem przekonaniem, — ktoby mi inaczej powiedział, temu w oczy bym napluł.

— No, to ci powiem, że w tem, co cię spotyka, jest coś nieczystego.

— Jakto? — krzyknął Wąsal przystając.

— Jeżeli burżua, da coś robotnikowi! to dla czego?

— Bo się nas boi. Już to wiem.

— A widzisz.!

projektu, nadmieniając zresztą, iż chodzi mu przedewszystkiem o samą zasadę.

Projekt Barrucand'a nie przebrzmiał bez następstw praktycznych, o ile za takie uważać można wnioski w ciałach parlamentarnych. W lutym r. 1896 deputowany Clovis Hugues, powołując się na autora omawianej książki, wniósł we francuskiej Izbie deputowanych projekt do ustawy, uprawniającej gminy do zaprowadzenia, w zakresie swego gospodarstwa, bezpłatnego zaopatrzenia ludności w chleb. W ten sposób pragnie wnioskodawca wypróbować praktyczność pomysłu Barrucand'a. Rzecz oczywista, iż pozostawiając urzeczywistnienie tej idei „chleba za darmo" gminom, na nie też wkłada projektowana ustawa koszta, które pokryć mają dodatki do podatków.

Dalsze losy projektu Clovis Hugues'a są nam nieznane.

Nie skończyliśmy jeszcze sprawozdania naszego o książce Barrucand'a. Ostatni nie poprzestał w swej działalności reformatorskiej na propagowaniu swych idei pismem. Wygłosił on w różnych miejscowościach Francji odczyty i konferencje i rozbudził niemi tyle zainteresowania, że redakcja gazety „Matin" urządziła ankietę, a poglądy interpelowanych powag umieścił B. w swej książe, dołączając także niektóre w tej materji artykuły, wydrukowane w czasopismach francuskich.

Ta część omawianej książki jest niemniej ciekawa od samej rozprawy Barrucand'a. To też nie weźmie nam czytelnik za złe, że przytoczymy niektóre z tych uwag krytycznych w sprawie, którą się tu zajmujemy.

„Jakkolwiek chwalebnym jest pomysł Wiktora Barrucand — pisze Elizeusz Reclus, znany anarchista — uważam, iż nie da się on wprowadzić w życie. Aby tego dopiąć, trzeba byłoby dokonać rewolucji, a wtedy należałoby tej ostatniej nadać rozmiary i zakres o wiele szersze. W samej rzeczy, nigdy pracodawcy, spekulanci i kapitaliści nie zgodzą się na taki ustrój, któryby pozwolił strejkującym robotnikom stawić opór bez końca. Niech projekt Barrucand'a wejdzie w życie, a od jutra pracodawcy są na łasce robotników. Wiedzą też o tem pierwsi: raczej zgodzą się oni na wymordowanie wszystkich Francuzów, aniżeli na zaopatrzenie ich w chleb bezpłatny... Państwo jest na usługi bogaczy... a gminy całkowicie od państwa zależą"...

Rochefort w artykule, napisanym z werwą i dowcipem temu pisarzowi właściwym, pt. »La mariée est trop belle« ocenia projekt B. z tego samego, co Reclus stanowiska, czyniąc między innemi uwagę, że zredukowanie budżetu wojny i marynarki i zaniechanie kosztownych wypraw kolonjalnych, przedsiębranych przez rząd francuski, pokryłoby potrzebny na ten cel wydatek w kwocie około $1^1/_2$ miljarda franków rocznie.

Zola na zapytanie ankiety dał odpowiedź bardzo krótką, ale dosadnie charakteryzującą jego nieuctwo. Obawia się on niebezpieczeństwa, które byłoby następstwem podobnej reformy i zapytuje: »czyż jedną z przyczyn upadku plebsu w Rzymie nie było rozdawnictwo chleba?« Nie zdaje sobie tu słynny powieściopisarz widocznie wcale sprawy z różnicy między proletarjatem rzymskim, który, nie pracując, żył kosztem społeczeństwa, a proletarjatem spółczesnym, któ-

---

— Ale teraz, ze mną, to nie prawda, bo doktór Jan, z burżua nie trzyma, tylko z dobrego serca chce mi pomódz. Hej, hej! panie Wąsalu, jeszcze ty inaczej pożyjesz!

— Tylko pilnuj twojej baby! — zaśmiał się Rodek.

— No! Dlaczego?

— Ty głupiego udajesz, czy co?

Wziął się pod boki i z politowaniem patrzał na towarzysza.

— Ach ty głupi, głupi! — zawołał. Boją się nas, więc chcą nam oczy zamydlić swoją dobrocią. Kupią cię, każą na nas szczekać, ty odstępco! a twój dobroczyńca ładną żonę ci zbałamuci, bo dawno już do niej zęby szczerzy. Wszyscy o tem wiedzą, tylko ty ślepy. Sługę swojego chcą z ciebie zrobić, bo wiedzą, żeś miękki, jak wosk. Oni wiedzą, że Rodka nie kupią, więc do mnie...

Urwał, widząc przy świetle latarni wyraz twarzy Wąsala. W oczach szeroko rozwartych błyskała dzikość, nozdrza drgały, a z otwartych ust wydobywały się bezładne, chrapliwe dźwięki. Był straszny. Rodek przeląkł się.

Tymczasem w oddali, zastukały jakieś kroki na pustej ulicy. Ktoś zbliżał się ku nim. To doktór Jan powracał z miasta do domu i rozmyślał — czy dobrze zrobił, wyciągając Wąsala z fabryki? Czy jego ten umysł będzie miał jeszcze dość giętkości do przyswajania wiedzy, wszak teraz, on, doktór Jan odpowiadał za przyszłość Wąsala.

Wtem jakiś wielki cień zwrócił jego uwagę i jednocześnie prawie barczysty człowiek skoczył ku niemu, żylaste palce pochwyciły go za gardło. Rzucił rękami w powietrze, raz, drugi, wreszcie wściekłe dłonie puściły na ziemię sinego trupa.

— Coś ty zrobił? — wyszeptał Rodek.

— Nie będziesz mnie już oszukiwał, nie będziesz krzywdził, — szeptał Wąsal.

I nagle padł na ziemię jak długi.

— O Jezu! Jezu! spuść-że na nas zmiłowanie swoje.

Ryknął wielkim płaczem, bił głową o kamienie.

Rodek stał nad nim zmartwiały. On nie chciał przecież tej śmierci.

Antonina Morzkowska.

rego właśnie pracą żywi się całe społeczeństwo.

Leroy-Beaulieu, powaga ekonomiczna we Francji, wyniośle traktuje projekt, uważając, iż dość pomyśleć o olbrzymich podatkach, których wymagałoby jego urzeczywistnienie, aby właściwie tę ideę ocenić.

Deputowany Millerand radzi tytułem próby wprowadzić projekt w życie w jednej z gmin Francji, posiadających socjalistyczny zarząd gminny i sądzi, że ministerstwo, proponując rzecz podobną w Izbie, mogłoby mieć większość zapewnioną.

Typowe są zapatrywania niejakiego Cornet'a, radcy miejskiego i b. piekarza, prawdziwego francuskiego »bourgeois«. „Uważam projekt za utopię komunistyczną... wywoła on nowe wymagania ze strony ludności, która żądać będzie — i nie bez racji — bezpłatnego mięsa, odzieży, mieszkania itd... Dokądże wreszcie na tej drodze zajdziemy?... Dążenia takie uważam za niebezpieczne“ itd. w tym rodzaju.

Dla kontrastu umieścimy tu obok poglądów lojalnego (w sensie francuskim, bo u nas uchodziłby zapewne za radykała) radcy Cornet'a zapatrywania teoretyka anarchizmu francuskiego, a zarazem uczonego przyrodnika, księcia Krapotkina, który przystępuje do oceny zajmującego nas projektu z gotową doktrynerską miarką anarchisty w ręku. Myśl sama wydaje mu się dobrą. Pragnąłby ją, naturalnie, odrazu rozszerzyć na odzież i mieszkanie. Ale, pomimo to, nie godzi się na projektowaną reformę, bo przeprowadzenie jej ma być powierzone państwu, które anarchiści powinni zwalczać na każdym kroku.

Jak widzimy, projekt Barrucand'a nie zyskał bezwzględnego uznania nawet u matadorów radykalnych partji francuskich. Pomimo to nie można mu odmówić zdrowej myśli przewodniej. Jestto niewątpliwie piękny objaw twórczości myśli społecznej, tem godniejszy uwagi, iż odbiega od rozwielmożnionego szablonu reform w duchu socjalno-demokratycznej doktryny.

Ze śląskiej ziemi.

V.

S o w a unosi nas dalej i dalej od gór malowniczych, — unosi w kierunku dolin, do Frysztatu, gdzie dziś właśnie mają się odbyć sejmiki relacyjne dwóch posłów ludowych: ks. Świeżego i rolnika Cieńciały.

Nie należy wszelako wnosić, jakobyśmy bujali w powietrzu, dosiadłszy oklep symbolicznego ptaka mądrości, ptaka Minerwy. Nie! „sową“ lud śląski nazywa pociąg lokalny kolei koszycko-bogumińskiej, którego względnie powolny ruch przypomina niskie sowie loty, a basowe gwizdanie ma pewne podobieństwo do głosu tego nocnego drapieżcy. Ślązacy lubią stateczną „sowę“, która, zatrzymując się przy każdej niemal wiosce, ułatwia im za nader niską opłatą komunikację wewnątrz kraju. To też w nielicznych wagonach tego pociągu panuje stałe przeludnienie, a mieszkańcy miast mają słuszność, nazywając go „panoramą“. Jak w panoramie przesuwają się tu przed okiem jadącego barwne, pełne charakteru postacie. Rozmaitość strojów i typów ogromna. Jest czem zadowolić najwybredniejsze, a zarazem najsprzeczniejsze upodobania. Tu oto, najbliżej okna, umieściło się — jedno naprzeciw drugiego — młode małżeństwo. Nie patrząc nawet na nich, z dźwięków jedynie pieszczonej mowy, w której *l, sz, cz, ż,* brzmią jak: *l, ś, ć, ź,* — poznać można, że to obywatele Jabłonkowa.

W Jabłonkowie som Jackowie,
Rozumiejom różnej mowie,
Bo wandrujom z Węgrem, Turkiem,
Szli na szańce z Brandeburkiem —

mówi piosenka o Jabłonkowianach, którzy wywodzą swe pochodzenie od plemienia węgierskiego Jacygów i dla tego przezywani bywają żartobliwie »Jackami«. Pochodzenie węgierskie zdradza też do pewnego stopnia powierzchowność i strój młodej pary. Do czarnych brylantów podobne oczy kobiety mają w sobie coś z upajającej mocy tokaju, z namiętnego rytmu czardasza. Jej brwi, regularne, śmiało zakreślone, zbiegając się pod smagłem czołem, dzielą piękne oblicze żałobnym rysem i nadają wyraz surowy górnej jego części, podczas gdy dolna śmieje się purpurą kwitnących warg, oraz czysto słowiańskiemi dołkami na brzoskwiniowych jagodach. Możemy też podziwiać bujne, krucze, zlekka falujące włosy Jabłonkowianki, która nie kryje ich pod czepiec, jak to czynią kobiety zamężne innych okolic Śląska: góralki, wałaszki z pod Cieszyna, laszki z dolin, lub noszące się »po frydecku« Ślązaczki od morawskiej granicy. zgrabną jej główkę przystraja zsunięty daleko od czoła, bogatym haftem przyozdobiony toczek. Natomiast reszta stroju nie bardzo się różni od ubrania wałaszek, a tak się ma do s z a t góralskich, jak róża ogrodowa do polnej. Zasadnicze barwy śląskie: biała i czarna i tu przemagają, ale śnieżna bluzka — *kabatek*, o krótkich, bufiastych rękawach wdzięczy się wzorzystym haftem, ale suknia, już nie z ćwilichu tylko z wełnianej materji, drapuje się okazale na krochmalonych spodnicach, a pod światło rozpatrywana, wpada w jakiś ciemno wiśniowy odcień. Stroju dopełnia nadto nieznany góralkom aksamitny gorset — *żywotek*, którego wszystkie części:

oplecek, przedniczki, ramiączka połyskują złocistym szychem, barwnemi jedwabiami, a błyszczące, szklane paciorki, otaczające szyję, wesołe rzucają światełka na gładkie lica. Wdzięczny strój i ładnie w nim nadobnej Jabłonkowiance!

Na jej towarzyszu natomiast wzrok krócej i z mniejszem zatrzymuje się upodobaniem. Znać w nim handlarza, kupca, który często i nisko pochyla się nad rachowanemi centami, którego pierś odwykła w dusznej atmosferze korzennego sklepu od szerszych, wolniejszych oddechów. Jest on też żywem zaprzeczeniem przysłowia, że »nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię«, bo z nim rzecz się ma odwrotnie. Banalne rysy jego twarzy, wymazują się szybko z pamięci, — świąteczny strój swoją oryginalnością na dłuższą chwilę przykuwa uwagę. Uderza tu w pierwszym rzędzie bogactwo srebrnych ozdób. Zapięta pod szyję kamizelka połyskuje dwoma rzędami guzów z tego metalu, takież guzy ze zwieszającemi się od nich pętlicami zdobią naszywany taśmą przód ciemnej kurtki, szeroki łańcuch w rybią łuskę kołysze się na piersi. Niemniej i pozostałe części ubrania zdradzają zamiłowanie Jacków w ozdobnej odzieży. Kurtka, sięgająca tylko do pasa, nie zakrywa jasno granatowych spodni, »cyfrowanych« z przodu sznurkiem w fantastyczne arabeski. Długie »polskie« — jak my mówimy — węgierskie — jak wyrażają się na Śląsku — buty obrzeża lamowanie z jaskrawego safjanu, zakończone pod kolanem takiej że barwy pomponami. Pukle wijących się włosów Jacka zlewają się z kędzierzawym barankiem jego czapki.

Obok strojnego, jak paw, Jabłonkowianina, usiadł młody góral z wytworną prostotą ubrany. Białe, obcisłe *galaty* sukienne, czarny *bruclik* *) o świecących guzikach, ozdobiony *kistkami* z zielonej i pąsowej włóczki, ślepiącej białości, rozchylona z przodu koszula bez kołnierza i mankietów, kyrpcie i kopyca na nogach, jasno popielaty kapelusz na hardo podniesionem czole, — oto i cały strój górala, lekki, swobodny, zgrabny, jak jego właściciel. I ta wszelako odzież, pomimo całej swej prostoty, świadczy o upodobaniach artystycznych naszego ludu. Koszulę u szyji, po obu stronach *rozporki*, u dołu szerokich rękawów obrzeża haft, surowemi nićmi wykończony, pod rozporką zaś mieści się wyszyty czarnym jedwabiem kwadracik, a na nim dwa złączone serduszka! Czerwone *wierszyczki* kopyców harmonizują natomiast z ozdobami *bruclika* i ze świeżym pączkiem różanym, wyglądającym z poza jasnej wstążki kapelusza.

Bystre, czarne, ciekawe oczy górala przebiegają od osoby do osoby i zatrzymują się z jednakim wyrazem wesołej życzliwości na wszystkich towarzyszach podróży, nie wyłączając *szlondr*, które to, niezbyt dźwięcznie brzmiące przezwisko nadają górale gościom, z po za granic Śląska przybywającym, którzy noszą długie suknie i *smyczą* je po błocie. Ale nietylko w oczach — na całej jego twarzy maluje się szczera, żadną chmurką przykrej myśli nie zamącona wesołość. Czy ma do niej jakie szczególniejsze powody? — O, mnóstwo! — Albo to słoneczko nie zalewa w tej chwili falą ciepłego złota całej ziemi i jego pólka, podzwaniającego wiechami owsa? Alboż on sam nie jest młody, piękny, silny, do każdej *skopny* roboty? A taż Marynka, śliczna, jak *leluja*, dziewczyna, nie sprawiaż mu radości, gdy odmawiając innym *pachołkom*, z nim tylko jednym wyskakuje raźnie w *owięzioku*, lub gdy śpiewa rzewnie: »Poleju, poleju, cożeś taki bujny? — Jest tam na Izdebnem jeden szuhaj szumny« — a śpiewając patrzy mu w oczy takim wzrokiem, jakby miód i płomień w błękitnych miała źrenicach?... Z wielu, jednem słowem, bardzo wielu czystych źródeł płynie to wesele, które dźwięczy w głosie górala, iskrzy się w jego spojrzeniu, przebija w ożywionych ruchach. Nie pozostaje też zapewne bez wpływu na dobry jego humor niezwykłość sytuacji, po raz to pierwszy bowiem przenosi sią z miejsca na miejsce nie za pomocą swych nóg jelenich, lecz siłą pary.

— Do stu buczków, do stu dębów! jako ta »sowa« skoro leci! — wyrywa mu się okrzykiem zdumienia z ust roześmianych.

(C. d. n.) *M. Wysłouchowa.*

*) Kamizelka.

Błędy językowe.

6. Nie mówmy i nie piszmy *jak długo... tak długo*, zamiast *dopóki, póki... dopóty, póty*. Tamto jest niemczyzną: *so lange*.

7. Mówi się *natrafić na...*, ale nie należy mówić *napotkać na...; na* przy *napotkać* jest zbytecznem.

Na Syberji.

Wobec coraz większego zainteresowania szerszego ogółu wielką budową Syberyjskiej kolei żelaznej, pragnę dać tu czytelnikom szczegóły tego przedsięwzięcia, oraz kilka rysów, dotyczących samego kraju.

Budowa koleji, łączącej dwa krańcowe punkta Azji — Czelabińsk-Władywostok, uskutecznia się niemal na całej długości, wynoszącej z górą 7,000 wiorst; postęp jednak budowy różnych części jest różny: w niektórych miejscach została zupełnie ukończona (Czelabińsk-Krasno-

jarsk i Władywostok-Chabarowsk), gdzieindziej przebywa różne stadja swego rozwoju — od gotowego już do układania szyn toru do wciąż trwających studjów, warjantów w celu wyszukania najlepszego kierunku wśród przeszkód, jakie nagromadziła azjatycka przyroda, mieszcząc na ogólnym kierunku drogi wielkie skaliste góry, wartkie rzeki, głębokie wąwozy lub bagna, spoczywające na wiecznie zmarzniętym gruncie (drogi Środkowo-Syberyjska, Zabajkalska). Cała droga Syberyjska dzieli się na cztery wielkie działy: zachodnio-syberyjski (Czelabińsk-Ob'), środkowo-syberyjski (Ob'-Irkuck), zabajkalski*) (Irkuck-Błagowieszczeńsk) i ussuryjski (Błagowieszczeńsk-Władywostok); każdy z tych działów ma osobny, niezależny jeden od drugiego, swój zarząd, podlegający tylko komitetowi budowy drogi Syberyjskiej w Petersburgu.

Zarządy mieszczą się: pierwszy w Czelabińsku (a obecnie w Omsku), drugi w Tomsku, trzeci w Irkucku, czwarty we Władywostoku. Główny kierunek drogi Syberyjskiej nie przechodzi przez Tomsk, który z powodu swej kultury śmiało stolicą zachodniej Syberji nazwany być może, natomiast połączony jest odnogą z drogą Syberyjską.

Każdy z tych działów przedstawia w porównaniu z innemi wielkie kontrasty, a więc ogólnej charakterystyki całej budowy dać nie można.

Kolej Zachodnio-Syberyjska zaczyna się po za pasmem gór Uralskich od miasta Czelabińska i przebiega na 1300-wiorstowej przestrzeni przez jednostajną równinę (stepy Kirgiskie, Barabiński step i inne), miejscami porośniętą niewielką skarłowaciałą brzózką, nużącą wzrok podróżnego. Budowa tej kolei, z punktu widzenia technicznego, nie nastręcza wielu trudności, jeśli nie brać pod uwagę kilku wielkich mostów (Iszym, Irtysz, Tom' i Ob'), następnie komplikacji budowy wodociągów, np. w stepie Barabińskim, gdzie woda w studniach i jeziorach słona, dla zaopatrzenia więc ludzi i lokomotywy w wodę musiano urządzać studnie artezyjskie; następnie, jeśli nie uwzględnimy w zimie wielkich mrozów, a w lecie skwarów, dotkliwie dających się odczuwać pracującym. Zachodnia Syberja nosi już azjatycki charakter; kultura jej zbliżona zrazu do kultury wschodniej części Rosji europejskiej, w miarę, jak posuwamy się na wschód, słabnie i stopniowo przechodzi w zupełną dzikość z wyjątkiem miast i wsi, leżących wzdłuż wielkiego traktu syberyjskiego.

To też przybysz w Syberji zachodniej może urządzić sobie życie znośnie. Taniość tu wielka, nawet po przeprowadzeniu kolei, kiedy konsumcja produktów powiększyła się znacznie; żyzny kraj tutejszy, dostarcza wielkiej ilości najpotrzebniejszych przedmiotów; — są miejscowości, gdzie pud owsa kosztuje 15 k., pud mięsa 150 do 180 kop., cena chleba zaś jest tańsza od najniższej chleba europejskiego; olbrzymie stepy i jeziora przepełnione są mnóstwem dzikiego ptactwa, którym zawodowi myśliwi napełniają rynki pobliskich miast i sprzedają za bajecznie niskie ceny (dziesiątek zajęcy 20 do 30 kop., jarząbków para 15 kop., cietrzewi 30 do 40 kop. itd.). Produkta zaś, przywożone z Europy są tu droższe o całą wielkość kosztów transportu.

Od Obi (rzeka i stacja kolei Środkowo-Syberyjskiej, nosząca też nazwę) krajobraz się zmienia i staje się mniej jednostajny, chociaż są to przeważnie płaszczyzny. Miejscami tor kolejowy (dr. żel. Środk.-Syberyjskiej) przechodzi przez dziewicze lasy, składające się z jodeł, świerków, cedrów i sosen (lasy takie zwane tu są »tajgą«), ludzi widzi się mniej, drożyzna wszystkiego się wzmaga.

Im dalej na wschód, tem lasy są obfitsze i dokoła wynurzają się pasma wzgórz. Trakt pocztowy tu się zbliża, a nawet przecina często linję kolei żelaznej, zasadniczą bowiem podstawą wyboru kierunku budowy tej ostatniej było trzymanie się bliskości traktu, jako jedynej arterji komunikacyjnej kraju. W niewielu tylko miejscowościach tor kolejowy zbacza w stronę na znaczniejszą odległość.

W pobliżu większych siedlisk ludzkich, wsi i miast, lasy na niewielkiej przestrzeni znikają — wyniszczył je człowiek, potrzebujący budulca i opału.

(C. d. n.).

Juljan Kossowski
inżynier - technolog.

*) Z dr. żel. Zabajkalskiej wydzielone jest zupełnie obejście jeziora Bajkału i nazywa się koleją Dokołabajkalską (»Krugobajkalską«).



Wiadomości bibljograficzne.

Józef Kenig. Sprawa chińsko-japońska i dwa odczyty. (Nowe prądy w literaturach zachodnich. W obronie naszego stulecia) Warszawa. Nakład S. Lewentala. 1896 r.

Ernest Lawisse. Historja powszechna. Starożytność, wieki średnie, dzieje spółczesne (dla dzieci od 11 do 13 lat) przekład z francuskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. str. 216.

Wincenty Zakrzewski, prof. uniw. jagiel., ukończył obszerny zarys bibljograficzno-literacki o Adolfie Pawińskim, w którym przedstawia działalność zmarłego historyka na szerokiem tle stosunków społecznych i literackich warszawskich.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie